

Postaci AGH we wspomnieniach i anegdotach

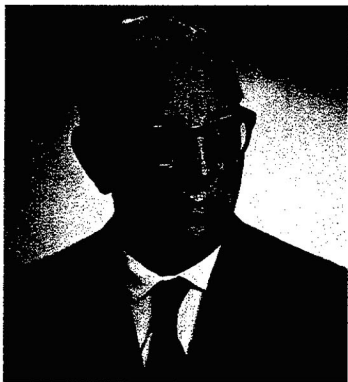


foto. arch.

Prof. Mikołaj Dubowicki

Elżbieta Konieczna

Urodził się w 1903 r. w Mikuliczynie na Wschodzie, zmarł w 1985 r. Studiował w latach 1923-1929 na Wydziale Hutniczym Akademii. Już na ostatnim roku studiów zaczął pracować jako asystent. W czasie wojny uczestniczył w tajnym nauczaniu studentów, chronił też ceną aparaturę uczelni przed zniszczeniem i grabieżą. Po wyzwoleniu nadal pracował na Akademii Górniczej przemianowanej następnie na AGH. Pełnił funkcję prodziekana Wydziału Metalurgicznego, był współorganizatorem i dwukrotnie prodziekanem, a następnie przez dwie kadencje dziekanem Wydziału Odlewnictwa. Zorganizował Katedrę Metaloznawstwa Politechniki Częstochowskiej i prowadził tam wykłady. Pracował również przez kilkanaście lat w średnich szkołach technicznych, ucząc metaloznawstwa i obróbki cieplnej. Był prekursorem badań w dziedzinie metaloznawstwa w Polsce i autorem 55 publikacji. Wypromował 16 doktorów. Przez wiele lat współpracował z przemysłem w charakterze eksperta i konsultanta. Mimo przejścia na emeryturę po 45 latach pracy zawodowej, nadal pracował ze studentami. Ludzie mówią, że kochał uczyć.

Twarz wyrazista, o grubych rysach, z dużym, bulwiastym nosem, można z niej wyczytać stanowczość, sil-

ny charakter, może zasadniczość... Ci, co go znali, mówią, że budził respekt. Studenci przy nim porządnie się uczyli, bo nie żartował, współpracownicy nie lekceważyli obowiązków. To nie był człowiek, o którym by opowiadano anegdoty, ich cały rodzinny zapas wyczerpywał też Profesora, Roman Dawidowski, jedna z najbarwniejszych postaci Akademii. Mikołaj Dubowicki nie był człowiekiem kolorowym. Najbliżsi współpracownicy na pytania o jego poczucie humoru, towarzyskość, pozauczelniane zainteresowania, każde zdanie odpowiedzi zaczynają od niepewnego „chyba”. Nie opowiadał o sobie, nie spoufalął się, ale równocześnie wszyscy go cenili i chyba... (teraz ja używam tego niezdecydowanego słowa) lubili. W każdym razie opowiadają o nim ciepło, z nutą serdeczności.

Był bardzo dokładny, starannie przeglądał indeks każdego studenta, uważając, że skoro ma złożyć opis, musi sprawdzić go własnoręcznie. Zachowywał kopie wszystkich dokumentów urzędowych. To oznaczało istnienie w zasięgu ręki gigantycznych stosów pedantycznie posegregowanych papierów – plon trzech prodziekańskich i dwóch dziekańskich kadencji. Można sobie wyobrazić, że panie z dziekanatu, słynne „dziekaniace”, musiały przy nim pracować jak szwajcarskie zegarki. Jedną z nich była ambitną perfekcjonistką w wykonywaniu służbowych obowiązków wobec dziekana, ale im więcej się starała, tym tragikomiczniejsze były rezultaty, a prof. Dubowicki bardziej niezadowolony. Inna z pań nakłoni-

ła świeżo upieczonego męża, by dwa lata odczekać z poczęciem pierwszego dziecka, do końca kadencji Profesora. Nie zorientowała się, że nie było to specjalnie potrzebne. Gdy po latach przypadkowo spędzali z rodziną pp. Dubowickich wakacje w Jastrzębiej Górze, Profesor specjalnie gdzieś pojechał, by zdobyć dla niej kilogram cytryn. Była w ciąży i uważał, że są jej potrzebne witaminy. Potrafił być czuły dla drugiego człowieka – mówią dawni uczniowie i współpracownicy.

Był przewrażliwiony na punkcie punktualności. Gdy miał wyruszyć w podróż, pojawiał się na dworcu pół godziny przed odjazdem pociągu. Jego życie było jednostajnie usystematyzowane, wstawał codziennie między piątą a w pół do szóstej rano, szedł na Akademię, wracał wieczorem o godzinie 19, 20. Czasy były ciężkie, żeby utrzymać rodzinę, przez długi czas pracował na dwóch etatach. Do Częstochowy dojeżdżał nocnym pociągiem, od ósmej zaczynał wykłady na tamtejszej Politechnice, noc spędzał w zakładzie, śpiąc na rozkładanym łóżku, następnego dnia po zajęciach wracał nocą do Krakowa i siedł na zajęcia na AGH. Tak wyglądał każdy tydzień.

Zajmował się metaloznawstwem, dziedziną, której naukowe podstawy w Polsce rodziły się dopiero w latach przedwojennych, właśnie na Akademii, z jego poważnym udziałem. Był w tej dziedzinie i prekursorem, i cenionym w przemyśle ekspertem.

Bliski współpracownik, porządkując po śmierci Profesora jego spuściznę, zetknął się z olbrzymim materia-

łem, z którego spokojnie mogłaby powstać rozprawa habilitacyjna. Mikołaj Dubowicki nigdy jej nie napisał, ale też nie miał z tego powodu kompleksów, etatowy tytuł profesora zupełnie mu wystarczył. Napisał kilka cennych prac, nie było ich dużo, ale liczyła się jakość. Do zajęć ze studentami przygotowywał się niezwykle starannie, ciągle uzupełniając swoje notatki nowościami. Jego wykłady były logiczne i przejrzyste. Studenci nazywali go Carem, może dlatego, że był bardzo wymagający. Po latach jednak tę surowość umieli docenić. Gdy Profesor obchodził jubileusz siedemdziesięciolecia urodzin, aula AGH pękła w szwach, nabita jego wychowanymi.

Mikołaj Dubowicki dość dawno temu pracował na Akademii, niezapisane w porę szczegóły ulatują. Łowią skąpe informacje o Profesorze, spoglądam na poważną, zasadniczą twarz na zdjęciu, szukając odpowiedzi na różne zagadkowe pytania. Jak sobie radził w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ten wieloletni, bezpartyjny dziekan z pierwszymi sekretarzami partii na uczelni? – *Niech pani nie zapomni napisać, że Profesor na zewnątrz bronił jak lew każdego pracownika wydziału* – upominają mnie ludzie, z którymi rozmawiam.

To wszyscy pamiętają. Albo zdarzenia z czasów wojny: wiadomo, że Profesor ratował przed Niemcami majątek uczelni. Zaraz po wkroczeniu

wojsk sowieckich do Krakowa przekazał Akademii dokumenty egzaminacyjne, pieczęcie rektorskie i inne cenne materiały. Zdołał też ukryć blisko 200 kg metali czystych: niklu, chromu, wolframu, manganu, molibdenu, które tuż przed wojną laboratoria Akademii na Krzemionkach otrzymały od polskiego przemysłu.

I jeszcze państwu opowiem kilka mało znanych szczegółów z prywatnego życia Mikołaja Dubowickiego. Wcześniej osierocony, mimo to celująco skończył liceum w Stanisławowie. W trakcie studiów materialnie pomagała mu młodsza siostra, przysyłając połowę nauczycielskiej pensji. W Polsce szalała wtedy dewaluacja i pieniądze z dnia na dzień traciły na wartości. Na początku każdego miesiąca Profesor kupował kaszę, smalec i chleb, który suszył, i jako sobie radził. Poznając te fakty, dopiero zrozumiałam podtekst pewnej anegdoty: bliski niegdyś asystent M. Dubowickiego z sentymentem wspominał nieśmiertelną, mocno sfatygowaną teczkę szefa i sandały noszące ślady wielokrotnych interwencji szewca.

Późniejszą żonę poznał na balu. Nie umiał wtedy tańczyć niczego poza walcem wiedeńskim, stał, patrzył i długo czekał, aż wreszcie orkiestra go zagra i będzie mógł zaprosić piękną pannę do tańca. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Pobrali się po ośmiu latach. Był rok 1938. Ukochaną zaprosił w podróż poślubną „Ba-

torym”, zwiedzali norweskie fiordy. W 1939 roku urodziła się starsza córka. Wojna zniszczyła spokój domu, też, prof. Roman Dawidowski, z którym się nawzajem lubili i szanowali, został wywieziony do obozu, rodzina przymierała głodem. No, ale to, co złe, musiało mieć swój kres. Po 1945 roku zaczęła budować od nowa.

Pracował bardzo ciężko, bo przez dłuższy czas sam utrzymywał rodzinę. Troszczył się o wszystko, cały rok odkładał na wakacje. Najpierw przez lata jeździli na Podhale, później nad morze do Jastrzębiej Góry. Wtedy, przez ten miesiąc urlopu, istniał wyjątknie dla rodziny. W ciągu roku czasem w niedzielę robili sobie wycieczki. Blisko, bo do Łasku Wołskiego albo do Łasku na Bonarkę. To były prawdziwe całodniowe wyprawy z przygotowywanymi wcześniej przez mamę wiktuałami, które ojciec starannie pakował do swojej czarnej teczki, tej, z którą przez całe lata chodził na uczelnię.

Jego dwie córki skończyły AGH, dwóch wnuków również poszło w ślady dziadka i pradiadka. Rodzina ludzi techniki.

O prof. Mikołaju Dubowickim opowiedzieli mi: Anna Dubowicka – córka, Władysław Kijas – była kierowniczka dziekanatu Wydziału Odlewnictwa, profesorowie Władysław Longa i Jan Lech Lewandowski oraz dr Leopold Staszczak.

Karykatura Profesora ze zbioru *Akademia w karykaturze*, Kraków 1969

